

Nazywają mnie panią inwestor

Z Krystyną Jandą rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

O czym rozmawiała Pani z Lechem Wałęsą w gdańskim kinie Neptun?

Nasze spotkanie sprowokował Andrzej Wajda. Realizowaliśmy jedną z trzynastu części zbiorowego dzieła, które polscy reżyserzy przygotowali na obchody 25. rocznicy wydarzeń sierpniowych. Andrzej Wajda chciał, byśmy po latach od premiery „Człowieka z żelaza” spotkali się ponownie na planie: Lech Wałęsa, Jerzy Radziwiłowicz, Andrzej Wajda i ja – i porozmawiali o „Człowieku z nadziei”.

O tym, że „Człowiek z żelaza” stał się człowiekiem zawiedzionych nadziei?

Nie. Bo to nieprawda. Takiego filmu i takiej rozmowy żadne z nas nie chciałoby ani przeprowadzić, ani zarejestrować. Zastanawialiśmy się, kim byłby dziś Człowiek z nadziei, co by robił, o czym mielibyśmy zrobić ewentualną trzecią część. Takie pytania zadawaliśmy panu Wałęsie, bo to on po premierze „Człowieka z żelaza”, wymyślił tytuł „Człowiek z nadziei” i wysłał telegram do Andrzeja Wajdy, wyrażając nadzieję, że taki film powstanie.

A Pani zdaniem, co zostało dziś z ideałów „Solidarności”?

Wiele. Dorobku i wielkości „Solidarności” nikt nie odbierze. Żyjemy w nowym, wolnym kraju. Ale podobało mi się to, co mówił Lech Wałęsa – że już nie my, ale nowe pokolenie to nasi ludzie z nadziei.

Uważa Pani, że zdobycze Sierpnia zostały dobrze wykorzystane?

Tak, w rezultacie tak, cokolwiek byśmy o tym nie myśleli. Żyjemy gdzie indziej, myśleliśmy inaczej, przed nami jest perspektywa, a nie ściana.

Grana przez Panią w filmach Wajdy Agnieszka żywiłowo i bezkompromisowo wchodziła w politykę. Dzisiejsi 20-30-latkowie chyba rządziej angażują się politycznie. A jeśli już, to raczej chłodno kalkulują, niż wierzą w polityczne ideały.

Nie, nie wydaje mi się, by tak było. Znaczna część młodzieży myśli i działa powodowana większą, szerszą ideą. Jest idealistyczna i społecznie odpowiedzialna. Znam taką młodzież. I nie jest to Młodzież Wszechpolska. Wśród młodych aktorów i reżyserów też są ludzie, którym przyszłość Polski i postawy prospołeczne nie są obce ani obojętne. Na szczęście jednak żyjemy w kraju, w którym artyści mogą zajmować się także tylko sztuką.

Aktorowi łatwiej jest w kapitalizmie?

Różnie, ale akurat w tym zawodzie powodzenie, przydatność i sympatia publiczności zależą nie od ustroju, systemu czy układów, a od tego, czy jest się utalentowanym. Choć w naszej przeszłości była cenzura, zakazy występowania i szykany dla niepokornych. Nie zapominajmy o tym. Teraz wszystko znormalniało, albo prawie znormalniało. Bo żyjemy i tworzymy we wczesnym, wilczym okresie kapitalizmu, gdzie pieniądze, oglądalność czy sprzedawal-



Uważam, że zasłużyłam – po moich doświadczeniach i z moim dorobkiem – na własne miejsce, własny teatr. Teatr, który niekoniecznie musiałabym budować i zakładać sama. No ale tak się potoczyły sprawy, że wraz z mężem inwestuję w kulturę własne pieniądze. To się oczywiście wiąże z naprawdę wielkim ryzykiem.



FOT. SZYMON LASZEWSKI

ność stały się jednym z głównych kryteriów oceny. Dla sztuki to niebezpieczne, a mecenat państwowy, pieniądze na naukę, kulturę są niedostateczne. Ładnie określili to Wałęsa podczas naszego spotkania. Powiedział: „Bardzo trudno jest budować kapitalizm od góry”.

Pani, tworząc własny teatr, buduje kapitalizm „od dołu”...

Nie buduję kapitalizmu, staram się stworzyć pierwszy w Polsce prywatny teatr, taki, jakich wiele na zachodzie Europy. Będzie trudno.

I dlatego tak dużo Pani pali?

To przedsięwzięcie ryzykowne i w jakimś sensie heroiczne, bo trzeba będzie zmienić nawyki publiczności. Nie będziemy mieli etatów, magazynów i wszystkich tych rzeczy, na które nas nie stać. W związku z tym nie będziemy też teatrem repertuarowym, który ma stale w dyspozycji kilkanaście tytułów i co dwa, cztery dni zmienia ofertę dla widza i w którym sztuki grane są nawet po kilkanaście lat. My będziemy produkować

tytuł i grać go codziennie od dnia premiery, tak długo, jak tylko publiczność będzie kupować na to przedstawienie bilety. Jeśli nie kupią od razu, spektakl już nigdy nie wróci na scenę. Zastąpi go nowy tytuł. Tylko takie funkcjonowanie naszego teatru jest możliwe, bo nie wymaga stałej obsługi, sztabu ludzi do zmian dekoracji, świateł, rekwizytów.

Pierwszy raz słycać było o Teatrze Polonia pół roku temu. Czy przez ten czas stała się Pani bardziej przedsiębiorcą, budowniczym, czy bizneswoman?

Raczej realizowałam i realizuję ideały i marzenia. Na szczęście na własny rachunek i po dość owocnym życiu zawodowym. Uważam, że zasłużyłam – po moich doświadczeniach i z moim dorobkiem – na własne miejsce, własny teatr. Teatr, który niekoniecznie musiałabym budować i zakładać sama. No ale tak się potoczyły sprawy, że wraz z mężem inwestujemy w kulturę własne pieniądze. To się oczywiście wiąże z naprawdę wielkim ryzykiem, bo na teatrze, co chyba wszyscy wiedzą, za-

robić raczej nie można. W każdym razie nie ma to wiele wspólnego z biznesem. Poza tym ten remont, a raczej budowa nowej instytucji publicznej, musi odpowiadać normom Unii Europejskiej, a dostosowanie się do tych norm jest bardzo kosztowne. To także tysiące przepisów, zakazów, konieczności, związanych choćby z zapewnieniem możliwości korzystania z budynku osobom niepełnosprawnym. Tysiące problemów, w których gubię się prawie każdego dnia. Ale oczywiście nie robię tego remontu sama. Czuwa nad tym wielu ludzi.

Kto konkretnie?

Przede wszystkim mój mąż, który nadzoruje prace. Są też architekci, fachowcy od kanalizacji, wody, światła, strażacy...

Czyli ludzie, którzy nie działają charytatywnie, dla idei. Trzeba im zapłacić...

Nazywają mnie panią inwestor. To wszystko wyjaśnia. Nie mogę liczyć na ulgi, choć powoli znajdują się firmy produkujące urządzenia, materiały budowlane, które chcą nam pomóc i pomagają.

Ile kosztuje remont Polonii?

Początkowo obliczono to, jak mówiono – skromnie – na dwa miliony złotych. Czyli tyle, ile kosztuje wyprodukowanie jednego filmu fabularnego. To rzeczywiście nie jest dużo, zważywszy, jak skomplikowany organizm musi powstać. Gdyby prace wykonywała państwowa instytucja, byłoby dużo drożej. No, ale jak zwykle przy takich okazjach, każdego dnia mamy niespodzianki, które nas zaskakują. Także finansowo.

Skąd bierze Pani fundusze?

Na razie wydajemy nasze prywatne pieniądze. Może choć w części uda się wyposażyć ten teatr z pomocą Ministerstwa Kultury. Czekam też na rozpisanie nowego konkursu na dofinansowanie z pieniędzy unijnych, ale zdaje się, że się nie doczekamy w tym roku. Pewnie, jeśli nie otrzymamy wsparcia, staniemy na jakimś etapie.

Rodzina nie protestuje?

Mój mąż zachował się w całej tej sprawie tak wspaniale, że nie mogę ochłonąć do dzisiaj. Przecież to są i jego pieniądze.

Czy to prawda, że zastawiła Pani dom? Sprzedaliście nasz dom warszawski, bo był droższy.

Szefowie prywatnych teatrów w Warszawie chcą, by miasto pomagało nie tylko swoim teatrom, ale również im. Zorganizowali spotkanie w tej sprawie, ale Pani na nim nie było.

Miałam zdjęcia do filmu „Miron i Jadwiga”. Organizatorzy konferencji protestowali przeciwko temu, że oni nie mają dostępu do pieniędzy miasta przeznaczanych na kulturę, że ponoszą wszelkie obciążenia produkcyjne sami, a jednocześnie miasto wspiera hojnie także lekkie, komercyjne produkcje dotowanych teatrów, które stanowią konkurencję dla scen prywatnych. Teatr Buffo działa w Warszawie już dwanaście lat bez złotówki dotacji. Teraz i inne teatry zaczęły grać spektakle muzyczne, na

które miasto daje im pieniądze. Często występują w tych produkcjach ludzie wykształceni i wychowani przez te lata przez Buffo. Ale skończmy na tym, nie chcę się za nich wypowiadać, powinni to zrobić sami.

Nie identyfikuje się Pani z prywatnymi warszawskimi scenami?

Dwa działające dotąd w Warszawie teatry prywatne to Buffo – muzyczny – i Sabat – rewiowy. Mój teatr to będzie coś zupełnie innego. Jestem w zupełnie innej sytuacji. Mam zamiar, bez stałej pomocy, bez stałej dotacji, robić teatr. Nie muzyczny czy taki, w którym grane będą farsy i lekkie komedie – tylko i wyłącznie. Nie czysto komercyjny. To jeszcze trudniejsze. Taki teatr „trudniejszy” powinien jednak działać wspierany dotacjami państwowymi, bo inaczej będzie trudno. Lub ambicje repertuarowe trzeba będzie schować do kieszeni.

Występowała Pani o pieniądze?

O dotację na produkcje teatralne, a nie na remont? Tak. Dostałam trochę pieniędzy, na cykl czterech małych spektakli o kobietach z nowej Europy, zrobionych na podstawie tekstów z Bałkanów, Ukrainy i Czech. Te pieniądze zdobyłam, pisząc wniosek i uczestnicząc w konkursie razem ze wszystkimi: amatorami, domami kultury, teatrami offowymi, itp., itd. Oczywiście, będę składać takie aplikacje. Przy czym są to zawsze niewielkie pieniądze, a wniosków napływa bardzo dużo.

Sama Pani pisze te wnioski?

Nie, pracuję z młodym ludźmi, inteligentnymi. Napisanie takiego wniosku to ostatecznie nie filozofia, szczególnie kiedy się wie, co się chce wystawić i dlaczego. Ale na razie brakuje nam na skończenie remontu. I to poważnej sumy.

Jak zamierza Pani ją zdobyć?

Myślę, że w pewnym momencie nie ucieknę od pożyczki, kredytów. I musimy jak najszybciej zacząć grać, choćby w holach, łatwiejszych do wyremontowania, żeby zarobić na podstawowe potrzeby.

Czy można zarobić na przykład na wydaniu internetowego dziennika?



Na planie filmu „Miron i Jadwiga”

FOT. ARTUR CHMIELEWSKI

Pierwsza część była sukcesem. „www.malpa2.pl” też nieźle się sprzedaje, ale to zarobek na wysokości gaży za rolę filmową, i to rozłożony w czasie. Dużo za mało jak na potrzeby Polonii.

Kiedy ruszy Teatr Polonia?

Nie potrafię powiedzieć. Za dużo niewiadomych. Chciałabym zacząć grać w holach jesienią, a do końca roku otworzyć dużą salę, ale nie wiem, jak to się potoczy.

Jest Pani postrzegana jako osoba, która wie, czego chce, i potrafi to osiągnąć. Jaki ma Pani pomysł na Polskę?

Nie zamierzam robić niczego nowego. Chcę robić teatr dla ludzi, teatr według własnych wyobrażeń, teatr środka, tak go nazwijmy. Jak najlepszy, ale nie bardzo łatwo. Jeśli polegę, wynajmę go innym.

To do Pani niepodobne. Już Pani myśli o przegranej?

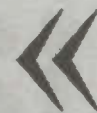
Nie, ale przewiduję różne sytuacje. Bardzo wielu ludzi chce w Warszawie grać, reżyserować, ryzykować, grać farsy, komedie, kabaret i nie mają miejsca, więc...

Walczy Pani o stworzenie własnego teatru i jednocześnie podejmuje się wielu innych zadań. Czy po to, aby zdobyć fundusze, czy też żeby odreagować stresy związane z narodzinami Polonii?

Przed wszystkim żeby wywiązać się ze wcześniejszych obietnic. A co do pieniędzy to większość rzeczy ostatnio jest charytatywna. Jak choćby „Kopciuszek”. To świetny pomysł. Nie mój zresztą. Poproszono mnie o pomoc. Dochód przeznaczony będzie na rzecz oddziałów onkologii dziecięcej. Nie zarabiamy na tym.

Reżyserowanie takich medialnych gwiazd jak Monika Olejnik, Szymon Majewski czy Kamil Durczok to chyba bardzo trudne wyzwanie?

Trudno to nazwać reżyserowaniem. Dziennikarze nie otrzymali zadania: „grać”. Chcieliśmy, aby widzowie po prostu dobrze się bawili. Chcieliśmy zrobić miłą rzecz, która pozwoli zebrać takie pieniądze, jakie rokrocznie zbierane są na charytatywnym balu dziennikarzy. W tym roku nie będzie on organizowany z powodu żałoby w środowisku.



Żyjemy i tworzymy we

wczesnym, wilczym okresie kapitalizmu, gdzie pieniądze, oglądalność czy sprzedawalność stały się jednym z głównych kryteriów

oceny. Dla sztuki to niebezpieczne.

Aktorzy narzekają na filmową posuchę a Pani wystąpiła w jednej z największych produkcji ostatnich lat – „Wróżbach kumaka”. Jak do tego doszło?

Zaangażowano mnie, tak do tego doszło. Produkcja jest realizowana w osiemdziesięciu procentach za pieniądze niemieckie. Mój udział był jednym z warunków postawionych przez Niemców. Głównym producentem jest pani Regina Ziegler, którą znam od dawna i która mnie zna. Zna też moje role. Znamy się i lubimy także z reżyserem, Robertem Glińskim.

Czy tylko dlatego przyjęła Pani tę rolę?

Scenariusz powstał na podstawie powieści Güntera Grassa, to wybitna książka i ważna historia. Poza tym to pierwszy po „Błaszonym bębenku” film po latach wędług jego prozy.

Widziała już Pani efekt?

Nie. Uczestniczyłam tylko w postsynchronach – gram tam po niemiecku. Podczas tej pracy widziałam wersję roboczą filmu. Premiera przewidziana jest na wrzesień. Wiem, że i Polacy, i Niemcy wiążą z tym filmem wiele nadziei.

Ma Pani na swoim koncie reżyserię „Pestki”, według kultowej powieści Anki Kowalskiej, w której zagrała też Pani główną rolę. Czy jest pomysł na kolejny film, który przyciągnie publiczność?

Moje dwa projekty leżą w Agencji Produkcji Filmowej i w telewizji, i to od kilku lat. Jeden – według książki „Ja” Anny Borskiej, drugi – na podstawie „Prowincji” Barbary Kosmowskiej. Nie zamierzam pisać trzeciego.

Czyżby w dzisiejszych czasach nie było zapotrzebowania na kobiece kino? Wydaje się to niewiarygodne.

To znaczy na kino opowiadające o kobietach? Tak, scenariusze te opowiadają o kobietach. Zresztą program Teatru Polonia też będzie skierowany na tę tematykę. Myślę, że publiczność, która przychodziła na moje spektakle do teatrów Studio i Powszechnego, nie zmieniła upodobań.

Dziękuję za rozmowę.